№ 3 (38). Cena 55 groszy.

Konto P. K. O. № 63178.

PRZEBOJEM.

MIESIĘCZNIK UCZNIOWSKI POŚW. NAUCE i ROZRYWCE.

KUTNO NAD OCHNIĄ, Dnia 15 Grudnia 1927 roku.

ROK V.

DRUK J. CELKOWSKIEGO.
ROK 1927.

Konto P. K. O. № 63178.

PRZEBOJEM

MIESIĘCZNIK UCZNIOWSKI POŚW. NAUCE i ROZRYWCE.

KUTNO NAD OCHNIĄ, Dnia 15 Grudnia 1927 roku.

Warunki prenumeraty: Kwartalnie 1.50 zł. Półrocznie 3.00 zł. Rocznie 5.50 zł.

ROK V. | Cena 55 groszy z przesyłką 65 groszy | ZESZYT 3 (38).

Najserdeczniejsze życzenia
WESOŁYCH ŚWIĄT
ślemy
WSZYSTKIM PRENUMERATOROM.

Bóg się rodzi...

I znowu nadchodzą święta. Z pośród ponurych i ciemnych dni adwentowych wynurza się złota jutrzenka zapowiadająca swem światłem powrót lepszych dni — szczęścia i radości. Nadchodzi uroczysta rocznica Narodzenia Zbawiciela, który z miłości swej do człowieka zstąpił na ziemię, aby wybawić go z sideł szatana. Po czterech tygodniach adwentu, symbolizujących cztery tysiące lat przed Narodzeniem Chrystusa i długi okres oczekiwania na ów wielki cud, zbliża się znowu ten dzień pamiętny, drogi sercu każdego chrześcijanina. Zbliża się ów cudny wieczór wigilijny — budzący wiele myśli, marzeń i pragnień, nurtujących duszę wyznawcy wiary Chr. Ileż takich pełnych uroku chwil wieczornych przeżył już każdy z nas.

Wieczór wigilijny bowiem wydaje się jakąś cudną bajką, jak sen czarowną, prześnioną w dalekich zaświatach. Samo wspomnienienie wigilji wystarcza, aby do duszy wcisnął się błogi spokój, ukojenie, pragnienie dobra i piękna. W naszej wyobraźni przesuwa się cały szereg rozjaśnionych twarzy —najbliższych sercu osób, radujących się, że doczekały dnia, w którym mogą się dzielić opłatkiem i składać sobie nawzajem życzenia. Donośne dźwięki rozkołysanych dzwonów, wzywające wiernych na Pasterkę i tony pieśni kościelnych, ulatujących ku gwiazdom łączą się i słodką swą melodją witają nowonarodzoną Dziecinę Bożą.

„Bóg się rodzi, moc truchleje,
Pan niebiosów obnażony...“

—...rozlega się wszędzie, w każdym polskim domu i płynie ponad ziemią, pokrytą śnieżną szatą, niosąc ulgę w cierpieniu „ludziom dobrej woli“. Słuchając tych pieśni, czujemy błogość, która wypełnia nam dusze i wierzymy, że Boska Dziecina błogosławi nam w tem życiu, tworzącem pasmo chwil miłych i przykrych. Jednocześnie uświadamiamy sobie, że człowiek nie jest tak złym, jakim się wydaje. Odkrywamy w sobie pierwiastek dobra, który sprawia nam zadowolenie i dodaje otuchy do dalszego życia i chęci do pokonywania jego trudów. Mimowoli budzi się w duszy postanowienie zmiany dotychczasowego niezawsze może właściwego postępowania.

P. SZYMAŃSKI KL. VIII.

Stanowisko Asnyka w literaturze.

Po roku 1863 z wielu zrozumiałych powodów i napozór wytłumaczonych nastąpiła niechęć do wszystkiego, co nie zgadzało się z materjalnemi postulatami życia, lecz budowało na kruchych i niepewnych podstawach doskonalszego uduchownienia lub na słabym fundamencie zwodniczej wiary w potęgę uczucia. Bezpośredniem następstwem takiego sceptycyzmu było wyeliminowanie twórczych własności ducha z poglądów filozoficznych i oparcie teorji naukowej na materji — równocześnie z tem wiara w wielkość uczucia przeszła w wiarę w intelekt, jako najpotężniejszy i najpewniejszy czynnik poznania. Ile w tem gloryfikowaniu rozumu, wiedzy ścisłej i nowych praw było naiwnej przesady, najlepiej pominąć, gdyż w stosunku do tych spraw pod wieloma względami należałoby zająć stanowisko sprzeczne, względnie niezdecydowane, trzebaby tylko

z uznaniem podnieść, że załamanie się linji filozoficznej w świecie umysłowym zmusiło stosunkowo większą część społeczeństwa ówczesnego do myślenia. To jest jedną z dodatnich stron pozywityzmu i z takiego założenia wychodząc, można przeboleć upadek poezji romantycznej, która i tak, jeśliby przetrwała czas, przypadający na ten okres, to prawo ustawicznej zmienności musiałoby ustąpić miejsca późniejszym prądom literackim a nie dałoby może takich pomników wiedzy i ludzkiego poznania, jak wielka filozofja Adama Asnyka. Twórca nieśmiertelnych sonetów „Nad głębiami" swojemi utworami raczej zbliża się do romantyków polskich epoki porozbiorowej, a z pozytywizmem łączy go tylko to, że na równi z innymi uległ zagadnieniom tego prądu i pod ich wpływem stał się filozofem-poetą.

Z przekonań Asnyk pozywitystą nie był i jeśli jego twórczość nie wprowadzała rozdźwięku do współczesnego mu okresu literackiego, to przypisać należy temu, że autor utworu „Pod stopy krzyża" z konieczności tylko postępował z duchem czasu i „z szeregu zmarłych wystąpił i z żywymi naprzód szedł" dlatego tylko, aby zostać zrozumianym przez społeczeństwo.

Romantykiem, w całem słowa tego znaczeniu, Asnyk również nie był, ani nie był, jak wielu bezpodstawnie twierdzi, epigonem swoich genjalnych poprzedników, albowiem w jego spuściźnie literackiej obok haseł epoki romantycznej, oprócz pierwiastków, właściwych poezji porozbiorowej występują inne jeszcze tony, które dają specyficzny charakter i piętno poezji asnykowskiej.

Nie widząc zatem zdecydowanej przynależności Asnyka ani do pozytywistów, ani do romantyków, musimy wyobrazić sobie jego postać pośrodku — z prawą ręką podaną twórcom poezji romantycznej a lewą tym, którzy wyznawali wyłącznie prawa stwierdzone i którzy swoje teorje oparli na zasadach naukowo dowiedzionych. Z tego stanowiska rozpatrywana twórczość Adama Asnyka spełnia doniosłą rolę w historji literatury ojczystej, bo z jednej strony przez swoje pokrewieństwo do jednego i drugiego okresu łagodzi gwałtowność przejścia z epoki romantycznej do pozytywizmu, a z drugiej sama w sobie jest jednym z bezcennych kamieni, błyszczącym w dostojnym klejnocie, któremu na imię literatura.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ta twórczość, to djament drogocenny, ale z tego nie wynika, aby zamknąć go w przepysznej i delikatnej etui i przechowywać zdala od oczu, które już z jego błyskiem się oswoiły, w których może jego wielobarwne blaski nie wywołują wrażenia.

Nie wystarczy również zachwycać się jedynie efektowną szatą zewnętrzną jego poezji lub upajać się lekkiemi jak tchnienie wiosny erotykami, ale w tem wielkiem dziele trzeba doszukać się czegoś więcej, jak powierzchownych odcieni lub przebłysków chwilowego wzruszenia, czy smutnych melodji rozpłakanej liryki.

Tej spuściźnie literackiej należy się głębsze wniknięcie i wyższy piedestał, bo też jaskrawe efekty zewnętrznego piękna trzeba uważać tylko za artystyczny dodatek do tych wszystkich potężnych wartości, które w swojej niezmierzonej głębi kryje i które ją wysunęły na czołowe miejsce w literaturze.

Trudno w kilku słowach dać wystarczający wyraz najistotniejszym zabarwieniom poezji asnykowskiej, trudno w tem ogólnikowem dotknięciu jego wierszy zobrazować wszystkie myśli w nich ukryte, niemniej jednak, dzięki wyrazistej przejrzystości utworów Asnyka, można z łatwością odmalować portrecik jego twórczości.

Narodzenie się nowej ery po powstaniu było wielkim i niespodziewanym ciosem dla tych wszystkich, którzy swoje poglądy ugruntowali na poezji romantycznej i w niej widzieli tylko pomyślne rozwiązanie losów Polski. Niektórzy z nich usiłowali kołatać jeszcze do serc współobywateli w tej nadziei, że ich wołanie będzie duchowym nakazem, płynącym jakby z ambony kościelnej. Niestety zawiedli się. Nowa epoka uznała zwycięstwo całkowite prozy nad poezją i wysuwającym szczytne hasła doby romantycznej przeciwstawiła zimny rozsądek, który zmroził ciepło tych ideałów. Wobec takiego stanu rzeczy nie pozostało nic innego, jak myśli nagiąć do zagadnień nowego prądu, stłumić wewnętrzne szepty zranionych uczuć i zawołać:

Ucisz się serce; swoich strat
Już nie opłakuj, stroskane,
Ale wschodzący pozdrów świat
I jego jutrznie różane.
„Ucisz się serce".

. . . .

Nie wszyscy jednak zdołali taką pieśń wyrwać ze zbolałej duszy, a zgoła niewielu mogło się wyrzec tych ideałów, które spłynęły w ich życie jak błogosławieństwo, bez których istnienia wydawałoby się im tak marne i nędzne, jak śmieszna walka z wiatrakami, niewielu mogło zadać kłam własnym uczuciom i błogosławić „nowym życia dniom", w których narodził się zupełnie inny świt.

Jeśli Asnyk po niewysłowionym bólu, po bólu bezimiennym, którego źródłem było właśnie cofnięcie się z wyżyn romantyzmu do szarości zagadnień re-

alnych, wytartych bezbarwną codziennością, mógł uderzyć w podobny ton i ze spokojem poddać się fali życia, która wyżłobiła sobie inne łożysko, to czynił to z pewnością pod wpływem zrozumienia „że żaden cud nie wróci do istnienia przeżytych kształtów“ i „że nie należy stroić z uporem głowę liśćmi z uwiędłych laurów“ w chwili, gdy wszyscy niemal stanęli w nieskończonym szeregu, przed którym zapalono pochodnię postępu.

Jeśli pozatem z tego wewnętrznego pasowania się, z tego duchowego łamania się wyszedł zwycięsko i zajął nawet przeciwne idealistom stanowisko, twierdząc, że nie są w stanie cofnąć fali życia, ani jej choćby na chwilę przelotną zatrzymać, zawdzięczał to tylko głębokiej wierze, która mówiła mu, że reakcja prozy jest chwilowem zjawiskiem.

W tem niezłomnem przeświadczeniu, że po krótkiem złożeniu poezji do mogiły wybije godzina jej zmartwychwstania, w której rozbłyśnie jak upragnione słońce po złym i smutnym dniu, pisał te słowa.

— — — — — — — — — — — — — — —

Ci, którzy mówią ciągle o jej zgonie,
Czyliż nie wiedzą, że ma żywot wieczny
W piersiach ludzkości i w natury łonie,
Że się odnawia w jasności słonecznej,
W ogniu młodości, co wieczyście płonie
I czarodziejsko w jeden węzeł splata
Marzenia ludzi z pięknościami świata?
„Na zgon poezji“.

— — — — — — — — — — — — — — —

Podobnie jak w sonetach z cyklu „Nad głębiami“ rozwijaną przez poetę, zapewne pod wpływem niemieckiego filozofa Kanta, teorję względnego poznania można uważać za negację, rzuconą pozytywistom, stojącym na przeciwnym biegunie, tak samo myśl ukryta w wierszu „Na zgon poezji“ nie jest niczem innem, jak żywem zaprzeczeniem poglądów i przekonań pozytywistycznych, które kwestję rozumu ludzkiego stawia w świetle wysoce problematycznem.

Dziwna rzecz, że Asnyk nie w każdym wierszu zajmował takie stanowisko, lecz swoją myśl przerzucał z tematu na temat, oddając ekstatyczny hołd hasłom i ideałom jednego i drugiego kierunku. Możnaby nawet sądzić, że poecie brakło stałych przekonań. Tak jednak nie było, bo w tem rzucaniu myśli nie było dezorjentacji, lecz były głębsze powody. Asnyk, nie będąc ani zdecydowanym romantykiem, ani pozytywistą, miał jednak silnie ugruntowany pogląd, oparty zarówno na własnych przeżyciach duchowych i na głębokiej, filozoficznej wiedzy.

Ten pogląd mówił mu, że i w romantyźmie i w pozytywiźmie obok mniejszych wartości są wielkie, obok błędnych stron—prawdziwe i jasne. Tym wszystkim doskonałym odcieniom poświęcił Asnyk wiele wierszy, kierując się wielką ideą połączenia ich w nierozerwalną całość, która miała być drogowskazem, widniejącym na złych bezdrożach, na jakich stanęło społeczeństwo po roku 1863.

T. CHMIELEWSKI KL. VIII.

Jan Henryk Pestalozzi.

(1746 — 1827)

Sto lat mija od śmierci Henryka Pestalozziego, jednego z najwybitniejszych ludzi.

Kim był Pestalozzi?

W Szwajcaji, w miasteczku Birr w Argonii, znajduje się nagrobek z następującym napisem:

„TUTAJ SPOCZYWA HENRYK PESTALOZZI
ur. wŻurychu 22 stycznia 1746 r., zm. w Brugg 17 listopada 1827 roku.
Zbawca ubogich w Neuhof.
Kaznodzieja ludu w Leonardzie i Gertrudzie.
W Stanz ojciec sierot.
W Burgdorfie i Münchbuchsee założyciel nowej szkoły ludowej.
W Iferten wychowawca ludzkości.
Człowiek, chrześcijanin, obywatel.
Wszystko dla innych, nic dla siebie.
Niechaj błogosławione będzie imię Jego".

Rodzina Pestalozzich przybyła z Italji do Szwajcarji w czasie reformacji. W XVII i XVIII w. zasłynęli Pestalozziowie, jako szlachetni i cnotliwi obywatele a wielu z nich piastowało zaszczytne godności świeckie i duchowne. Kanonik Otton słynął z dobroci, łagodności i uczoności, w połowie zaś XVIII wieku pastor, Andrzej Pestalozzi rozwijał dobroczynną działalność w swej parafji — w Höngg i starał się o podniesienie oświaty i dobrobytu wśród swoich parafjan. Ojciec Henryka, Jan, słynny na całą Szwajcarję lekarz-okulista, zmarł w wieku lat 33 i pozostwił młodą żonę z trojgiem dzieci. Wychowaniem ich zajęła się owdowiała pani Pestalozzi i służąca Babeli. Henryś miał wówczas pięć lat. Matka świeciła dzieciom przykładem dobroci, łagodności i mężnej wytrwałości w ciężkich sytuacjach życia, wszczepiała w młode dusze

szlachetne uczucia i wiarę w Boga. Babeli zaś samem życiem bez skazy dawała dzieciom dobry przykład. Opowiadała im o górach i lasach, o szczęściu i nieszczęściu ludu wiejskiego. Czas mijał i Henrysia oddano do t. zw. szkoły niemieckiej — elementarnej, w której uczył się czas krótki. Potem wstąpił do szkoły łacińskiej — gimnazjum, gdzie był do r. 1761. W tym czasie objawiają się rysy charakteru Henrysia, tak różne i kontrastowe, że rzadko występują one razem w jednym człowieku. Jest marzycielem i żądnym czynu, niezręczny i niezaradny, i zdający sobie sprawę z tego, co potrzebne i praktyczne, szczery i skryty zarazem, nieśmiały i bojaźliwy, a nieraz szalenie odważny. Przedewszystkiem jednak jest sprawiedliwy, uczynny, pobożny i dobry. Z natury brzydki, niezdarny i słabowity, stronił od towarzystwa kolegów i dlatego był przedmiotem ich drwin i dotkliwych nieraz żartów. Przezywano go „mamusin synek" lub „Henryk dziwaczek z Cudakowa". Ten „Dziwaczek" stawał nieraz w obronie słabszych kolegów, pokrzywdzonych przez silniejszych, szczególnie zaś bronił kolegów z gminu przed obywatelskimi synami". O ile nie obchodziły go żarty kolegów skierowane przeciw niemu, o tyle burzył się, gdy widział niesprawiedliwe postępowanie kolegów i profesorów. O jego szalonej odwadze świadczy następujący czyn: W 1755 r. trzęsienie ziemi, które nawiedziło Lizbonę, dało się odczuć w Szwajcarji. Gdy pod Zurychem zatrzęsła się ziemia i niektóre domy, między innemi i szkoła łacińska, uczniowie w szalonym popłochu wyskakiwali przez okna i pędzili naoślep przed siebie. Henryś (miał wówczas 9 lat) pomagał kolegom przy zeskakiwaniu z dość wysokiego okna, a gdy zauważył, że zapomnieli zabrać teczek i czapek, najspokojniej wrócił do klasy, zabrał potrzebne rzeczy i podał zdumionym jego odwagą kolegom. Ciągłe przestawanie Henrysia z chłopskimi synami narażało go na coraz dokuczliwsze żarty obywatelskich synów". Corocznie jakiś wiejski chłopiec opuszczał szkołę, bo nie wolno mu było kształcić się dalej. Każde takie rozstanie opłakiwał Pestalozzi gorzkiemi łzami. Nauczyciele go także nie lubili, bo śmiało i szczerze krytykował to, co mu się wydawało złe. Już w tym młodym wieku widzi Pestalozzi złą metodę w nauczaniu katechizmu, czytania, pisania, łaciny i gramatyki Już wówczas pragnie to wszystko zmienić. Lubiał nadzwyczajnie dziadka swego, pastora w Höngg. Ten go uczył „Ojcze nasz" po łacinie, zasad gramatyki łacińskiej, jednem słowem, przygotowywał go do egzaminów gimnazjalnych. Jednej rzeczy nie mógł się Henryś nauczyć — poprawnego pisania. Zdumiewał nieraz „pomysłowością" błędnego pisania. Wielki

wpływ na wychowanie młodego Pestalozzi'ego miał wuj, dr. Hotz, który wskazywał siostrzeńcowi niedolę ludu i potrzebę niesienia mu pomocy.

Tak się przedstawia życie Henryka Pestalozzi'ego do czasu wstąpienia do „Collegium humanitatis".

(dalszy ciąg nastąpi)

SYZYF KL. VII.

Do naszych krajoznawców.

Przeglądając ostatni numer „Przebojem", przeczytałem sprawozdanie z działalności „Kółka Krajoznawczego". Widać z tego sprawozdania, że nasi krajoznawcy pracują wytrwale nad wzbogaceniem swych wiadomości o ziemi ojczystej. Szkoda tylko, że obchodzą ich więcej odległe dzielnice, niż najbliższe otoczenie. Już kiedyś sprawę tę poruszano na łamach „Przebojem". Autor tamtego artykułu podniósł kwestję obojętności dla zabytków architektonicznych w Kutnowskiem. Po tym artykule była wprawdzie wycieczka do Oporowa, ale na tem poprzestano. Nikt nie chce podjąć się rzucenia choćby małego promyka światła na nasz powiat. A przecież Kutno nie jest takim znowu zaścianiem, żeby należało tylko żałować tych, których los rzucił do niego.

Trzeba wprawdzie przyznać, że nie mamy nigdzie w najbliższem sąsiedztwie Tatr, ani innych łysych lub niełysych gór. Morze już dawno wyemigrowało gdzieś w okolicę Gdyni i Pucka. Ale przecież widzimy w Kutnie rzeczy wartościowe, których niema gdzieindziej, a jeżeli i są, to nie powód, abyśmy o naszych wiedzieć nie mieli.

Każdy uważny Kutnowianin wie np., że jest gdzieś koło miasta i w samem mieście stacja doświadczalna rolnicza, przecież wywiesza ona swoje biuletyny w szafce na gmachu ratusza o mrozie i innych przejawach klimatu. Nie każdy wie jednak, że stacja ta w czasie swojej 25-letniej działalności zrobiła wiele więcej, aniżeli widzimy. Zadaniem jej jest przedewszystkiem doskonalenie gatunków zboża i innych roślin uprawnych. Wynik tej pracy jest widoczny nawet w nazwach zbóż, które to nazwy mile drażnią ucho każdego Kutnowianina np. „Jęczmień kutnowski".

Również w tem zapoznanym przez własnych młodych mieszkańców Kutnie stoi wielki młyn parowy, który może w ciągu 24 godzin zemleć 6 wagonów zboża przy pomocy zaledwie 40 ludzi.

Młyn ten posiada najnowsze urządzenia techniczne. Takich młynów w Polsce nie wiele mamy.

Możnaby długo jeszcze wyliczać różne ważne i mniej ważne osobliwości naszej ziemi kutnowskiej, może znajdą się tacy wśród naszych krajoznawców, którzy zwrócą swoje oczy na Kutno i okolicę.

Chcąc bodaj w małej mierze przyczynić się do wykonania tej myśli, pragnąłbym przedstawić choć jedną dziedzinę życia społecznego w naszem najbliższem otoczeniu.

Wiemy, jak straszną klęską są pożary. Wiemy również, że w związku z tym żywiołem, ściągniętym przez Prometeusza na ziemię, powstały—w czasach nieco późniejszych — straże pożarne, zawodowe i ochotnicze oraz towarzystwa ubezpieczeń, które mają za cel niesienie pomocy finansowej pogorzelcom, opłacającym pewne składki. Na pożarach, na nieszczęście nam nie zbywa. Często daje się słyszeć dzwonienie na alarm, a w pewien czas potem wyjeżdżają sikawki i wozy ze strażakami. Spieszą oni na miejsce pożaru, by walczyć ze strasznym żywiołem.

W kutnowskim powiecie jest dość pokaźna ilość straży. Najstarszą w powiecie jest straż kutnowska, która istnieje już 48 lat. Pod rządami zaborców straże ogniowe ochotnicze broniły nietylko ludności przed strasznym żywiołem, lecz były jednocześnie tą cichą armją, która broniła ducha narodowego przed zakusami zaborców. Z tej to przyczyny rząd rosyjski przeszkadzał w rozwoju tych organizacyj.

Do czasu wojny było na terenie powiatu kutnowskiego zaledwie 6 straży pożarnych (Kutno, Dobrzelin, Żychlin, Konstancja, Krośniewice, Dąbrowice.) Straże pożarne ochotnicze w czasie wojny i po wyjściu okupantów pełniły służbę bezpieczeństwa publicznego. Po unormowaniu stosunków w Polsce niepodległej poczęła szybko wzrastać ilość straży ogniowych. Obecnie jest już w powiecie zarejestrowanych 52 straże, a nowe jeszcze organizuje się. Wszystkie one są ochotnicze, ich członkowie pracują bezinteresownie, w imię idei miłości bliźniego poświęcają swój czas, zdrowie a nawet i życie. Z tego też względu zasługują one na największy szacunek i uznanie.

Straże pożarne nie zabezpieczają jednak ludności od skutków pożaru. Za zastępami strażaków muszą stać towarzystwa ubezpieczeń, które zapewniają pogorzelcom zwrot poniesionych strat. W całej Polsce mamy przymusowe ubezpieczenie nieruchomości od ognia. Lecz zawartość budowli przenosi nieraz wartość tychże i stanowi cały majątek, weźmy np. budowle wiejskie: stodoły i spichrze, napełnione zbożem. Pożar takich budynków—to klęska dla

rolników wogóle, zwłaszcza zaś dla drobnej własności, sprowadza nieraz silne zachwianie materjalnej egzystencji a nawet zupełną ruinę. Wobec małego jednakże uświadomienia wśród drobnych rolników nie wszyscy uznają potrzebę ubezpieczenia się, dlatego też sejmiki powiatowe otrzymały pełnomocnictwo uchwalenia przymusu ubezpieczenia od ognia drobnej, rolnej własności, t. j. krescencji i inwentarzy.

Uchwała takiego przymusu zapadła dopiero w 15 powiatach, do nich zalicza się i nasz powiat kutnowski. Widzimy więc, że i pod tym względem idziemy w pierwszych szeregach.

M. CHLEWICKI KL. VIII.

Radjo — marzenie.

Kazik zdał egzamin z bardzo dobrym wynikiem, więc nie ominęła go nagroda ze strony ojca, który znał zamiłowania chłopca. Wyszli na ulicę, minęli kilka składów, wreszcie znaleźli się przed sklepem, nad którym widniał szyld ze złoconemi literami: „Składnica Radjowa". Śmiało przestąpili próg i znaleźli się w ubikacji, oświetlonej jarzącemi kinkietami. Przy stoliku siedział elegancki gentleman, który z miłym uśmiechem na ustach pytał się ich, czego sobie życzą. Spełnił następnie ich życzenie, pokazując kilka lampowych radjo-aparatów. Kazio wybrał dwulampowy odbiornik. Triumfalnie zaniósł go do domu. Nazajutrz zawieszono antenę.

Nadszedł wreszcie wieczór, niecierpliwie oczekiwany przez Kazia; założył więc słuchawki na uszy, następnie obrócił gałki reostatów i posłyszał jakiś pisk i trzask. „Jednak coś jest" — szepnął. Po chwili z tego dźwiękowego chaosu odezwał się miły baryton polskiego speakera: Hallo, hallo! Polskie Radjo Warszawa fala 1111 metrów. Kazio zamienił się cały w słuch. Czuł się dumnym z tego, że i on przyczynił się choć w cząstce do rozwoju tego cudownego wynalazku, jakim jest radjo. „Za chwilę orkiestra Polskiego Radja odegra koncert Straussa". Słuchał. Z twarzy Kazia bił zapał. Oczy mu błyszczały. Ta muzyka z przestrzeni miała dla niego jakiś nadziemski urok. Kazio począł marzyć. Pomyślał o kaskadzie dźwięków, płynącej przez fale eteru i po raz pierwszy w życiu poczuł się dziwnie wzruszonym. Ciałem jego owładnęła jakaś miła niemoc. Przed przywartemi oczyma poczęły mu się przesuwać wizje, będące zrazu nikłe i bezcielesne, po chwili jednak zaczęły przybierać realne kształty. Z pośród

cieniów wysunęła się nagle jakaś sylwetka o dumnym czole i ściągniętych łukach brwi. Głowa sylwetki była otoczona aureolą genjalności. „To Hertz, który pracował wytrwale na uniwersytecie bonneńskim nad falami elektromagnetycznemi oraz sformułował rządzące niemi prawa" — przemknęło przez głowę Kazia. Po chwili obraz się zmienia. Kazio widzi małą izdebkę na poddaszu. Kaganek rzuca blade światło. Przy stoliku siedzi robotnik, na uszach ma słuchawki. Twarz jego zdradza zainteresowanie, widocznie słucha transmisji ciekawego odczytu. Robotnik ten dawniej czas wolny od zajęć spędzał w karczmie, w gronie wesołych towarzyszy, czyhających na jego kieszeń. Dzisiaj słucha głosu, który niosą fale eteru. Oprócz rozrywki ma i korzyść moralną. To człowiek przez radjo zbawiony. Nagle Kazio słyszy głos matki:

— „Kaziu, co się z tobą dzieje?!"

— Nic mamusiu, zdrzemnąłem się...

T. ORZECHOWSKI KL. IV.

Wrażenia z wakacyj.

Z jaką radością, nie tylko ja, ale wszyscy koledzy powitali koniec roku szkolnego, ciesząc się, że niezadługo wyjedziemy nad morze lub w góry.

Tegoroczne wakacje mieliśmy spędzić w górach. Gdy znalazłem się w pociągu, opanowała mię niezmierna radość. W Skierniewicach pozostały trzy minuty do odjazdu pociągu, do którego mieliśmy się przesiąść. Udało się nam z wielkim trudem znaleźć miejsca w wagonie. Gdy pociąg ruszył, nie mogłem przyjrzeć się okolicy z powodu ciemności. O godzinie szóstej zobaczyliśmy wieżę Jasnej Góry. W Częstochowie zatrzymaliśmy się na jeden dzień, dla zwiedzenia miasta. Najpierw udaliśmy się na Jasną Górę i tam weszliśmy na sam szczyt wieży klasztornej, skąd roztaczał się wspaniały widok. Ścieżki wydawały się kreskami, drogi ścieżkami a ludzie niby mrówki, pełzające po ziemi. W oddali widać było Wartę, która niby wstążka wiła się po równinie.

Rozróżniałem też wieżyce kościołów: św. Jakóba, św. Barbary, św. Zygmunta i inne. Ulica, prowadząca od kościoła św. Zygmunta do Jasnej Góry, tonęła w zieleni drzew. Po zejściu z wieży zwiedziliśmy kościołek św. Barbary. Następnie wyruszyliśmy o godzinie pierwszej w nocy w dalszą drogę. Nad ranem zacząłem obserwować okolicę. Przed oczyma przesuwały się różne krajobrazy. O godzinie piątej pociąg wtoczył się na dworzec krakow-

ski. W Krakowie nie zatrzymaliśmy się dłużej gdyż pociąg do Zakopanego miał odjechać za chwilę. Wtem dał się słyszeć głos hejnału z wieży Marjackiej. Gdy pociąg przejeżdżał most na Wiśle, ujrzałem Wawel w całej okazałości. Dachy tego zamku błyszczały w promieniach słońca, które już wzniosło się ponad horyzont. Zabudowania Krakowa nikły w miarę oddalania się pociągu. Zobaczyłem teraz lasy iglaste a dalej zagony jęczmienia. Przedemną migały łąki, na których pasły się owce, pilnowane przez juhasów. Po przybyciu do Zakopanego zajęliśmy willę Pregle. W Zakopanem zaznajomiłem się z chłopcem, który podarował mi kilka szarotek. Dni płynęły wesoło, ja z Jaśkiem, (takie miał imię ów chłopiec) urozmaicaliśmy sobie zabawy. Pewnego dnia urządziliśmy wycieczkę do doliny Strążyskiej, skąd przyniosłem kilka dziewięciorników. Bardzo się też ucieszyłem, spotkawszy kolegę B., który razem ze mną chodził do drugiej klasy. Po dwóch dniach urządziliśmy drugą wycieczkę do Doliny Białego i ku Dziurze. Droga ciągnęła się pod lasem. Zakopane więc widzieliśmy z góry. Można było rozróżnić nowo założony park i poszczególne ulice. Po obu stronach doliny, wznosiły się niezbyt strome zbocza, pokryte lasem. Poszliśmy przy tej sposobności na Gubałówkę, aby nazbierać dziewięciorników, które rosły tam obficie. Po powrocie z tej wycieczki oznajmiono nam, że wkrótce opuścimy Zakopane. Wieść ta zasmuciła mnie, ale pocieszyłem się tem, że zwiedzę Lwów. W kilka dni potem wyjechaliśmy z Zakopanego. Jechaliśmy linją podkarpacką, wdali widać było góry, pokryte śniegiem. Po dwudziestu godzinach przybyliśmy do Lwowa. Tam zwiedziliśmy kilka kościołów, między inn. cerkiew św. Jura, o której uczyłem się w szkole. Potem zwiedziłem panoramę Racławicką, która znajduje się na placu Targów Wschodnich. Na pomieszczenie tego obrazu przeznaczono specjalny okrągły budynek. Panoramę umieszczono pod szklanym dachem. Wszedłszy, odnosi się wrażenie, że obraz naśladuje łudząco rzeczywistość. Cudny widok roztoczył się przedemną. Tu Kościuszko ze swoimi kosynierami uderza na armaty, tam Madaliński niby burza spada na Moskali, to znów Bartosz Głowacki zdobywa armatę. Grupa Moskali broni się zaciekle a obok rozpacza kobieta nad ciałem kosyniera. W dali widać płonące Racławice i kolumny wojsk rosyjskich. Nie jestem w stanie wyrazić tego, co oczy widziały. Godne jest podziwu to arcydzieło pendzla Kossaka i Styki. Mieliśmy też zwiedzić górę zamkową, ale nie pozwalał na to czas. Wracając pociągiem ze Lwowa, nie obserwowałem okolic, gdyż znużony zasnąłem. Obudzono mnie, gdy pociąg zatrzymał się w Lu-

blinie. Tutaj widziałem tylko dworzec kolejowy i sąsiednie zabudowania. Po przybyciu do Warszawy rodzice z braćmi odjechali do Kutna a ja pojechałem do Miłosny, gdzie spędziłem resztę wakacyj u wujostwa. Tutaj dopiero uczułem zupełną swobodę. Codziennie kąpaliśmy się, graliśmy w piłkę i zbieraliśmy borówki w pobliskim lesie. Dni płynęły szybko i wesoło. Ale niestety trzeba było opuścić tę zdrowotną miejscowość z powodu rozpoczęcia lekcyj w najbliższym czasie. Dnia 30 sierpnia byłem już w Kutnie.

J. KAŁUŻNY KL. IV.

Dzienniczki przyrodnicze.

Dookoła nas wre ciekawe życie, lecz często nie zwracamy na nie uwagi. Mam na myśli świat roślinny i zwierzęcy. Jeżeli będziemy uważnie patrzeć na cudowne zjawiska przyrody, spostrzeżemy dużo rzeczy, które sprawią nam radość. Powinniśmy poznać nasz kraj, w którym żyjemy i rozumieć, co się w koło nas dzieje. Chcąc to wszystko zauważyć, musimy patrzeć i wytężać słuch.

Spójrzmy na księżyc, który płynie po gwiaździstem niebie, zwróćmy oczy na słońce, które jest źródłem wszelkiego życia na ziemi, rozejrzyjmy się po całym świecie, po wszystkich cudach otaczającej nas przyrody.

Lecz nie wystarczy patrzeć i zachwycać się, trzeba to umiejetnie czynić.

Najczęściej w oczy nasze rzucają się barwy pięknych kwiatów.

Kwiat jest prawdziwym wybrańcem losu.

Niema prawie dnia, ażebyśmy nie rzucili na niego okiem. Podczas wiosny i lata widzimy go wszędzie, czy to mimochodem przy drodze, czy w parkach, a prawie codziennie w ogródkach.

Zimą zaś piękne kształty kwiatów z doniczek uśmiechają się do słońca. Kiedy wiosna zrzuci z siebie swój zimowy płaszcz i na miejscach, gdzie zimą leżał śnieg, wykwitną piękne storczyki, wspaniałe lilje, białośnieżne szarotki, panieńskiem rumieńcem pałające róże, gromadnie ruszamy poza miasto, ażeby nacieszyć się różnobarwnością tych roślinek.

Gdy zaś upał lata dokucza nam, wtedy przyjemna fala barwnych kwiatów, która zalewa swym przepychem nasze ogrody, łąki, lasy i skały, jest dla nas codzienną radością i szczęściem. W otoczeniu kwiatów ciężar codziennego życia staje się nam lżejszy. To wielkie i powszechne u-

miłowanie kwiatów pochodzi stąd, że według powszechnej opinji, są one piękne. Ich misterne kształty, wdzięczna woń i piękne kolory budzą w nas upojenie i radość.

Niejeden, wracający z przechadzki, niesie bukiety kwiatów i zrywa je przy pierwszej sposobności tylko dlatego, że są piękne i wydają przyjemną woń. Nikomu jednak nie przyjdzie na myśl rozwinąć kielich i zobaczyć, skąd ta przyjemna woń się wydobywa.

Gdyby zaciekawił się choć troszeczkę, uświadomiłby sobie, co jest przyczyną zapachu.

My młodzi powinniśmy dopatrywać się w kwiatach czegoś innego prócz piękności. Powinniśmy zgłębiać i rozwiązywać wszystkie tajemnice kwiatów, tajemnice woni, która często odurza człowieka. Chcąc się o tem wszystkiem dowiedzieć, musimy zbliska przyjrzeć się wszystkiemu.

W jaki sposób mamy się do tego zabrać?

Otóż należy patrzeć i obserwować bystro i ściśle, musimy jednakże prowadzić dzienniczki przyrodnicze. Praca przy prowadzeniu dzienniczka polega na obserwowaniu i zapisywaniu spostrzeżeń.

Dzienniczki przyrodnicze można prowadzić w wolnych chwilach od zajęć szkolnych, lecz według określonego planu. Prowadzenie dzienniczka polega także na ścisłej i systematycznej pracy.

Samodzielne obserwacje przyrodnicze mają wielkie znaczenie dla ćwiczeń spostrzegawczości. Cel swój będą mogły osiągnąć wtedy, jeżeli, jak wspomniałem, odbywać się będą według pewnego planu i mieć ściśle określony program i kierunek, inaczej będzie to usiłowanie dorywcze i niespełniające swego zadania.

Od czego musimy zacząć, chcąc prowadzić dzienniczek?

Materjałem do obserwacji może być cała przyroda: niebo, ziemia, powietrze, woda, rośliny, zwierzęta, słońce, gwiazdy i t. d. Od słońca zależy stopień ciepła na ziemi i siła oświetlenia, od niego zależy szybszy lub powolniejszy rozwój roślinności, budzenie się na wiosnę i zamieranie w jesieni. Kiedy roślinność wegetuje bujniej, spostrzegamy większą ilość owadów.

Wszędzie możemy spostrzec taką ścisłą zależność od siebie zjawisk przyrody. Należy więc zacząć od wyszukiwania ogniw, łączących jedne zjawiska z drugiemi, od obserwowania szczegółów. W każdymbądź razie kierować się musimy w wyborze obserwacji tem, ażeby od rzeczy łatwiejszych stopniowo przechodzić do trudniejszych.

Niżej mamy podany przykład, w jaki sposób prowadzić dzienniczek przyrodniczy.

Do obserwacji służy nam lipa.

— W moim ogrodzie rośnie lipa.

Wysokość lipy obliczam przy pomocy cienia.

Objawy życia lipy w 1926 roku.

Zakwitanie: Lipa zakwitła na początku lipca, ogólne masowe zakwitanie od 10—20-go lipca.

Przez czas zakwitania odwiedzały lipę liczne owady, szczególnie pszczoły.

Zmiana barwy liści nastąpiła około 15-go września. Opadanie liści: początek 20-go października, koniec 15-go listopada.

Barwa opadających liści: zielonawo-żółta, żółtawo-popielata i bronzowa.

Dnia 30-go listopada zerwał się silny wiatr i pozrzucał większą część owoców.

Spostrzeżenia poczynione nad kwiatem.

— Kwiaty są złożone w kwiatostan. Z szypułką kwiatostanu zrasta się długi, wąski listek, który po wytworzeniu się owoców służy jako skrzydła do wędrówki nasion.

Kielich i korona pięciolistkowa, zielonawo-żółta. Kwiat posiada liczne pręciki, słupek pojedyńczy. Owoc ma postać orzeszka.

— Jeżeli notujemy objawy życiowe lipy przez kilka lat i zestawimy je z obserwacjami nad pogodą, wówczas stwierdzimy ścisłą zależność życia lipy od pogody.

Prowadząc dzienniczki przyrodnicze, rozwijamy w sobie spostrzegawczość i umiejętność robienia obserwacyj nad zjawiskami przyrody.

Bardzo często przechodzimy obojętnie obok wielu ciekawych przedmiotów i zjawisk dlatego, że nie umiemy ich dostrzec.

KRÓLIK. KL. V.

Trzy podróże.

(Nowela).

Dokończenie.

„Takiego ślicznego dnia szkoda marnować na spanie", darł się dalej Romek. Zawstydziłem się. Rzeczywiście, na dworze... padał deszcz, a wicher wyrzucał w górę białe chmury płatków jaśminu. Słońce zaś wstydliwie z poza chmur i mgły wychylało swą anemiczną buzię. Wobec takiej „ślicznej" pogody a jeszcze więcej

wobec zdecydowanego rozkazu Romka postanowiłem się ubrać. W trakcie tej czynności przyjaciel przedstawiał mi plan dzisiejszej podróży do Kazimierza: „Pojedziemy zaraz po śniadaniu; są dwie maszyny: Fordziak i Fiat oraz dziewięciu pasażerów, wliczając w tę liczbę i nas".

— Po śniadaniu poszliśmy samochody przyszykować do długiej, bo przeszło dwieście kilometrów liczącej podróży. Zanim doszliśmy do garażu, Romek zaproponował mi ciągnienie losów, w celu obsadzenia kierownic dwóch samochodów. Ten, kto wyciągnie papierek z czerwonym znakiem, objaśniał Romek, będzie prowadził Fiata. Wierząc w swego „pecha", wyciągam z premedytacją pierwszy koniec papieru, no naturalnie z czerwoną krychą na końcu.

— Otworzono garaż, wytoczono dobrze mi znanego Fiata 503, błyszczącego ciemnym granatem lakieru i srebrem niklowanych części.

Za chwilę miano wytoczyć „Forda".

Z ciekawością wpatrywałem się w głąb ciemnego garażu, by zobaczyć niewidziany dotychczas samochód. Jaki jego stan? czy będzie ciągnął? — przelatywało przez mą głowę...

— Wytoczono. — Romek parskął śmiechem.

Na widok tego, co zobaczyłem, zrobiło mi się źle.

O Boże! — krzyknąłem — Romku i ty miałeś czelność, nazwać ten grat samochodem? Nie! nie jadę.

„Słuchaj" — zaczął mi tłumaczyć Romek, „przecież to nie wypada. Właściciel który przyjechał tym Fordem, odesłał swego szofera do domu, licząc, że któryś z nas samochód mu poprowadzi".

— Niech go tam, jadę, ale zastrzegam się, że z chwilą kiedy ta kupa żelastwa w drodze mi stanie, przesiadam się na Fiata.

„Dobrze" — zgodził się Romek — „jedziemy".

Kiedy całe towarzystwo, mające się udać z nami w podróż, wybierało sobie miejsca, ja zły na siebie, Romka, Forda, zły na cały świat, siedziałem już za kierownicą, marząc o różnych Hispano-Suizach, Alfa-Romea'ch i innych pięknych maszynach. Dano sygnał odjazdu. Miałem ruszyć pierwszy. Przyciskam starter. Dał kilka obrotów i stanął. Przyciskam drugi raz, to samo, trzeci z równym skutkiem. Romek — szczęśliwiec widząc, że maszyna nie chce palić, zapuścił swój silnik i przejeżdżając obok, krzyknął z ironją: „Pokręć korbą" i... pojechał.

Postanowiłem zlustrować swych pasażerów, w celu wydelegowania jednego odpowiedniejszego do kręcenia. O zgrozo! za mną na tylnem siedzeniu siedziały trzy osoby, o ile za jedną można policzyć tęgą jejmość, która

swym olbrzymim kapeluszem zakrywała widok ogromnego owocowego ogrodu. Przy niej siedział jej mąż i córka. Za sąsiada miałem kadeta równego co do tuszy wspomnianej wyżej pani.

— Panie Janku — zwróciłem się do niego, niechno pan pokręci trochę. Wygramolił się z trudnością i zabrał się z całem namaszczeniem do kręcenia. Ja tymczasem, chcąc by nabrał wprawy, wyłączyłem kontakt. Biedził się nieborak, pocił, a silnik jak stał, tak stał. Ciężko? pytam się — „Ciężko" odpowiada grubasek.

Żeby było lżej, niech pan podrapie samochód w wiszący na przodzie numerek — daję mu radę — tylko mocno. Drapie więc nieborak tablicę i znów bierze się do kręcenia. Teraz włączyłem kontakt, silnik zapalił a spocony kadecik dziwił się sposobom, które zdawały się tak prowizoryczne, a jednakże są tak skuteczne.

— Jedziemy... Przeciążony Fordziak, stękając, wdrapywał się na górę, gdy deszcz, który przestał na chwilę padać, z jeszcze większą energją począł zalewać nas wodą. Postanowiono postawić budę. Pracowała nad tem gruba jejmość, pracowała jej córeczka, pocił się karzełek — mężulek, pomagał im dzielnie kadet Janek — ja dowodziłem. ...No... może być, jedziemy dalej — orzekłem.

Pan Jan, przemęczony pracą, siedział z miną pokrzywdzonego dziecka, od czasu do czasu wycierał nos, zagłuszając tem doszczętnie klekot czterech cylindrów silnika i rozglądał się po mokrej okolicy.

Ja tymczasem, prowadząc maszynę, bezmyślnie wpatrywałem się w pozostawione przez Fiata ślady kół, prosząc Boga o szczęśliwą podróż, to znaczy nie przerwaną żadną reperacją. Na myśl o tem, że może „nawalić" kicha, robiło mi się źle, gdyż wiedziałem, że w swoich współtowarzyszach nie znajdę pomocników przy naprawie.

Od chwili naszego wyjazdu minęło dwie godziny. O ile mogłem się zorjentować po przydrożnych kilometrowych słupach, przejechałem coś około czterdziestu kilometrów. Jadąc dalej w tem „szalonem" tempie dwudziestu kilometrów na godzinę, w Kazimierzu stanąłbym za jakie 7—8 godzin. No, w każdym bądź razie, na wieczór zdążę. Po godzinie minęliśmy mieścinę Garwolin. (Wyjechaliśmy z pod Warszawy). Według planów, uczynionych przez mych współpodróżnych, mieliśmy się zatrzymać na obiad w oddalonym od Garwolina o 30 klm. mieście Ryki. Na przebycie tej przestrzeni potrzebowaliśmy półtorej godziny czasu.

Znudzony prowadzeniem, zaproponowałem kadetowi „objęcie" steru. Ten, bojąc się widocznie katastrofy, od-

mówił. Musiałem prowadzić sam. Przejechałem kilkanaście kilometrów, gdy naprzeciw siebie zobaczyłem jadącego „Chryslera“. Ładny samochodzik, pędząc na porządnym „gazie“, rozbryzgiwał wokół siebie strumienie błota. Przejeżdżając koło nas, rzucił nam w twarze prysznic tej pięknej, nadrożnej wilgoci. Ledwie miałem czas wytrzeć swe oblicze z warstwy błota, gdy z hukiem pękł przeumatyk przedniego koła... Stanąłem... Rad nierad, wziąłem się do reperacji gum...

Wybabrałem się jak nieboskie stworzenie, ale samochód do drogi był gotów.

— To właśnie są przyjemności podróżowania takiemi gratami... to jest przepraszam... takiemi samochodami. — rzuciłem podróżnym.

„Tak, tak“ stęknęła tęga paniusia — „Tak“ odpowiedział jej małżonek. Ich zaś córunia, jakby chcąc mi pomóc zgodziła się Forda poprowadzić. Ponieważ o prowadzeniu miała bardzo mgliste pojęcie, musiałem jej dać poglądową lekcję jazdy.

...Zrozumiała wszystko, siadła za kierownicą.

...Przycisnęła starter, ręka zaś jej odruchowo przesunęła korbkę „gazu“ do samego końca.

— Silnik zawył, zatrzeszczał i... stanął.

Pośród podróżnych powstał popłoch. „Co to? co się stało? — krzyczeli naprzemian. Nic, zaraz zobaczę — odpowiedziałem... podniosłem pokrywę maski silnika i po zbadaniu motoru orzekłem:

— Panewki się stopiły, państwo Kazimierza nie zobaczą, ja go widziałem tydzień temu, stoimy, a właściwie to państwo stoicie, ja jadę tym wozem, który właśnie się zbliża.

— Zamęt — Pani zerwała się i ze złością: „Jakto pan nas tu chce zostawić, to nieprzyzwoicie, może da się co zrobić?“.

— Nic tu nie poradzę — odpowiedziałem skromnie — jutro pierwszy września, muszę być na czas w szkole... Dowidzenia.—Wskoczyłem na jadący w stronę Puław wóz, za mną zaś pobiegły zdziwione oczy pozostawionych a do uszu moich dopadł głos kadeta:

„Weź mnie pan z sobą“. Nawet się nie odwróciłem. Dosyć miałem samochodów, szczególnie takich jak przed chwilą opuszczony, dosyć miałem okrzyczanych emocji wycieczek automobilowych.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Następnego dnia byłem w szkole.

— Uczniowie — koledzy siedzieli już w klasie. Przez zamknięte drzwi słychać było potężny hałas, nie dający się może porównać z rykiem stu naraz silników fordowskich. Otworzyłem drzwi, wszedłem do klasy.

...Przyjęto mnie milczeniem, wkrótce zaś posypały się pytania: „Co się z tobą stało? wyglądasz, jak gdybyś połknął ze dwanaście wiedeńskich krzeseł. Cożeś przez wakację robił?

— Nie spałem całą noc... wczoraj jechałem do Kazimierza — odpowiedziałem wszystkim naraz.

„Byłeś w Kazimierzu?" — zapytał Józio. „Może samochodem?"

Nie — odpowiedziałem — Fordem.

„No to wszystko jedno;—musisz napisać coś do Przebojem".

A to co znowu?

„Przebojem? — pismo nasze szkolne".

A prawda, zupełnie zapomniałem.

„Tak, to nasze pismo jestem przecież redaktorem".

A...! to gratuluję.

„No... przecież już nim byłem zeszłego roku, więc powinszowanie spóźnione".

Ah prawda, o wszystkiem zapomniałem! Bo widzisz jestem strasznie zmęczony.

„To nic — jutro coś napiszesz... tylko napewno".

— — — — — — — — — — — — — — —

Zabrałem się do pisania...

Trudno się było przecież do wszystkiego przyznawać.

Ale jakoś tam napisałem.

— — — — — — — — — — — — — — —

Pomiędzy podróżą przedstawioną w nowelce a podróżą odbytą w rzeczywistości, istniała taka różnica, jaka pomiędzy wycieczką odbytą przezemnie we śnie do Paryża a wycieczką na Fordziaku.

Gdy przedstawiłem manuskrypt redaktorowi, ten, chcąc orzec o przeznaczeniu artykułu, (czy do kosza, czy do druku) począł go czytać:

— Pogoda była śliczna, łagodny powiew wiatru, chłodzi piekący żar roześmianego słońca, którego promienie

błyszczały na białych płatkach, rozkwitłego jaśminu. W taki piękny czas, miałem odbyć podróż do Kazimierza.

— — — — — — — — — — — — — — —

Dwuosobowy „Moon" był gotów. Śliczna maszyna (złoty medal na konkursie piękności) czekała na chwilę, by pomknąć po równiutkim bruku szosy... Wsiedliśmy... starter... motor zawył swemi sześcioma cylindrami... Ruszyliśmy.

— — — — — — — — — — — — — — —

Po 30 minutach, minąłem Garwolin, po 45 miałem Puławy poza sobą.

— — — — — — — — — — — — — — —

Okolice Kazimierza cudne. Po jednej stronie szosy wysokie wzgórza, porośnięte drzewami, po drugiej stronie urwisko z błyszczącą w głębi Wisłą...

...Poezja natury.

— — — — — — — — — — — — — — —

Nie dojeżdżając do Kazimierza piękna, jaśniejąca zieloną barwą zarośli, góra, zakończona smukłą białą wieżą— starą rycerską basztą. Pejzaż wprost piękny, zdaje się wyśnionym przez jakiegoś mistrza pędzla.

W Kazimierzu, godną widzenia, jest jedyna na całe miasto restauracja, przylepiona do jakiejś starej — starożytnej rudery. Wstrząsana gwarem odpoczywających po podróży licznych automobilistów.

— — — — — — — — — — — — — — —

...Tak skończyłem trzecią podróż.

— — — — — — — — — — — — — — —

— „Ostatecznie może być" — orzekł redaktor.

EDWARD SOKOPP. KL. VII.

Kutno 24.XI-27.

Wiadomości z Polski i ze Świata.

Dzień 23 listopada był dniem żałoby całej Polski. Literatura poniosła dotkliwą stratę. Zmarł wielki pisarz polski, Stanisław Przybyszewski.

ZWYCIĘSTWA NASZYCH KAWALERZYSTÓW W AMERYCE.

Ekipa polskich jeźdźców, składająca się z płk. Róm-

mla, rtm. Antoniewicza i. por. Starnawskiego, w dniu 8-go listopada r.b. stanęła na starcie międzynarodowych zawodów hippicznych w Nowym Jorku. Mimo szalonej konkurencji ze strony jeźdźców amerykańskich, Polacy odnosili świetne zwycięstwa. Publiczność amerykańska, zachwycona świetną jazdą przedstawicieli polskiej kawalerji, przychodziła na każdy konkurs, płacąc za najtańsze bilety po kildziesiąt dolarów.

Sukces był jedynie niespodzianką dla nas. Zagranica ma już ustaloną wiarę w niezwyciężoność naszych jeźdźców, którzy teraz do ojczyzny przywieźli około 20 nagród: 5 puharów w tem „Puhar Narodów", 4 pierwsze, 4 drugie, 3 trzecie i 4 czwarte, oraz sławę niezwyciężonych.

POLONJA AMERYKAŃSKA — KOŚCIUSZCE.

W Bostonie odbyło się poświęcenie pomnika Tadeusza Kościuszki. Koszt wystawienia tego dowodu zżycia się „Polaków amerykańskich" z Ojczyzną wyniósł 170 tysięcy złp. Poświęcenia dokonał ks. kardynał O. Konnel w obecności 50.000 Polaków. Trzeba zaznaczyć, że pomnik ten stanął w pobliżu pomnika narodowego bohatera, pierwszego prezydenta Ameryki, Waszyngtona.

„DZIADY" MICKIEWICZA NA SCENIE TEATRU NARODOWEGO.

Niedawno odbyła się premjera „Dziadów" w Teatrze Narodowym. Grę zmodernizowano, co wywołało nieprzychylne stanowisko krytyki.

NIEDŹWIEDŹ W ZAKOPANEM.

Niedawno zdarzył się amatorom dalekich wycieczek w Zakopanem nadzwyczajny wypadek.

Na dwóch turystów w okolicy Zakopanego napadła groźna bestja—wcale pokaźny niedźwiedź. Turyści, widząc groźne niebezpieczeństwo, ratowali się ucieczką.

TROCHĘ STATYSTYKI.

W dniu 1 sierpniu 1927 r. ilość samochodów na świecie wynosiła 27.600.000.

Z tego na Amerykę (U. S. A.)	przypada	22.000.000
na Anglję	„	984.000
„ Francję	„	900.000
„ Kanadę	„	820.000
„ Polskę	„	16.544
z czego Warszawa	posiada	3.800.

E. S. KL. VII.

KRONIKA.

KÓŁKO LITERACKIE. Dnia 6-go listopada r. b. odbyło się zebranie kółka literackiego, na którem kol. Aktaboski złożył sprawozdanie z bieżącego ruchu literackiego, a kol. Fastyn wygłosił uwagi na temat: „Wierna rzeka", Żeromskiego. W dyskusji nad referatem zabierali głos kkol.: Szymański P. Chmielewski, Maryanowski i Oyrzanowski. Następnie p. prof. Anders wyjaśnił słuchaczom, w jaki sposób przedstawia Żeromski kwestję erotyzmu i jaką była etyka tego wielkiego twórcy. Na tem zebranie zakończono w obecności 37 członków. Przewodniczył kol. Stefanowicz.

Dnia 20-go listopada r. b. odbyło się zebranie kółka literackiego, na którem kol. Kazimierowicz wygłosił referat na temat: „Narodowość hr. Aleksandra Fredry", a kol. Aktaboski złożył sprawozdanie z bieżącego ruchu literackiego. W sprawozdaniu była mowa o Hulce-Laskowskim, W Rutkowskiej i Brudzewskiej. W dyskusji nad referatem zabierali głos kkol.: Oyrzanowski, Maryanowski Wł., Aktaboski i Chmielewski. P. prof. Anders uznał referat za dobry, wyrażając się, że prelegent pokonał prawie wszelkie, narzucające się trudności. Następnie w wolnych wnioskach zawiadomił słuchaczy o tem, że prezes kółka literackiego, kol. Chmielewski otrzymał stypendjum Książ. Atlas za gorliwą pracę w kółku literackiem. Na tem zebranie zakończono. Obecnych było 40. Przewodniczył kol. Gallus T.

Dnia 4-go grudnia r. b. odbyło się zebranie kółka literackiego, na którem kol. Szymański Eug. wygłosił referat na temat: „Teatr w Polsce do czasów Stanisława Augusta", a kol. Aktaboski złożył sprawozdanie z bieżącego ruchu literackiego. W sprawozdaniu mówił on o ś. p. St. Przybyszewskim, Kaz. Alberti, St. Bąkowskim, L. Staffie, J. Kaden -Bandrowskim i in. W ożywionej dyskusji nad sprawozaniem zabierali głos kkol.: Dąbrowski A., Smoleński, Gallus T., Szymański P., Maryanowski Wł. Buki. Dyskusję tę zakończył p. prof. Anders, wykazując bezpodstawność niektórych za-

rzutów. W dyskusji nad referatem zabierali głos: kol. Chmielewski i kol. Buki. p. prof, Anders uznał referat za dobrze ujętą całość syntetyczną, opanowaną stylistycznie. W wolnych wnioskach rozpatrywano kwestję założenia radja w szkole oraz prenumeraty „Anteny polskiej" na wniosek p. prof. Andersa. Na tem zebranie zakończono w obecności 33 członków i p. prof. Andersa. Przewodniczył kol Sowiński. W.

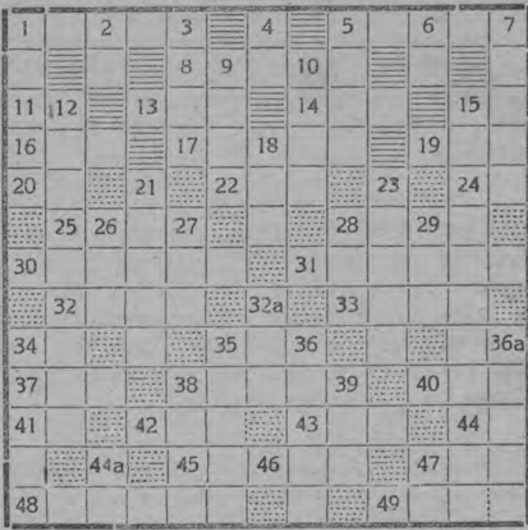
KÓŁKO HISTORYCZNE. Dnia 13-go listopada r. b. odbyło się zebranie kółka historycznego, na którem kol. Maryanowski zdał sprawozdanie z ostatnich wypadków historycznych a kol. Sowiński M. wygłosił referat (cz. II) na temat „Tadeusz Kościuszko". Nad sprawozdaniem zabierał głos kol. Walicki, uzupełniając niektóre fakty. W dyskusji nad referatem brali udział kkol. Fastyn i Possart. Na tem zebranie zakończono. Przewodniczył kol. Oyrzanowski.

Dnia 29-go listopada r. b. odbyło się zebranie kółka historycznego, na którem kol. Maryanowski złożył sprawozdanie z przebiegu ostatnich wypadków historycznych, a kol. Stefanowicz wygłosił referat n. t. „Powstanie listopadowe". Nad sprawozdaniem wywiązała się żywa dyskusja, w której brali udział kkol.: Walicki, Chlewicki, Sokopp i Chmielewski. W dyskusji nad referatem, który został wygłoszony z racji rocznicy powstania listopadowego, zabierali głos kkol.: Chlewicki. Chmielewski, Gruszczyński, Maryanowski, Possart,Różyński i Smoleński. Dyskusję zakończył ks. dyr. Wolanin, podając znaczenie wygłoszonego referatu i oceniając go jako dość dobry. Na tem zebranie zakończono. Przewodniczył kol. Gallus.

Cnia 11-go grudnia r. b. odbyło się zebranie kółka historycznego, na którem kol. Maryanowski złożył sprawozdanie z przebiegu ostatnich wypadków historycznych a kol. Sowiński M. wygłosił referat (cz. III) na temat: „Tadeusz Kościuszko". W sprawie sprawozdania zabrał głos kol. Niedzielski, twierdząc, iż sprawozdanie było zbyt obszerne. Nad referatem prowadzili dyskusję kkol.: Minich i Niedzielski. Na tem zebranie zakończono. Przewodniczył kol Chlewicki.

Z BRATNIEJ POMOCY. Dnia 15-go grudnia r. b. o godz. 12-ej odbyło się piąte zebranie Zarządu Br. Pomocy, na którem omówiono program akademji ku uczczeniu St. Przybyszewskiego oraz program Wieczoru Kolęd Zbliżający się jubileusz dziesięciolecia Br. Pomocy i pięciolecia wydawnictwa „Przebojem" postanowiono uczcić przez zwołanie Walnego zebrania członków Bratniaka, urządzenie zabawy oraz przez wydanie specjalnego jubileuszowego numeru pisemka. W związku z nagrodzeniem najlepszego projektu na okładkę „Przebojem" uchwalono kupić książkę: „Malarstwo wieku XIX i XX". Na zebraniu obecny był ks. dyr. Wolanin. Przewodniczył prezes Br. Pomocy, Edward Sokopp.

Krzyżówka.



ZNACZENIE WYRAZÓW:

POZIOME: 1. Karność, 5. Każda z trzech bogiń przeznaczenia, 8 Odznaka, 11. „Gdzie" po niemiecku, 13. Marzenia, J4. Dźwięk, 15. Jednostka miary oporu elekr (wsp.) 16. Imię żeńskie zdrobniale, 17. Miara wagi, 19. Masa do zalepiania (wspak), 20. Litera grecka, 22) „Mówi" po łacinie (wsp.) 24. Namuł (wspak), 25. Murzyn, 28. Mechanizm, 30. Związek, używany jako kosmetyk, 31. Święty opiekun, 32. Plecionka z rogoży, 33 Miasto w Azji, 34. Lit fon. (wsp.), 35. Trunek, 37. Litera grecka, 38. Ogłada, grzeczność, 40. Rzeka, 41. Miasto starożytne, 42. Termin szachowy, 43. Żona Kronosa, 44. Symb. pierw., 45 Balustrada schodów, 48. Wóz kirgizów, 49. Błotniste i piaszczyste wydmy nadmorskie we Francji.

PIONOWE: 1. Cyrkuł, 2 Symb. pierw. 3. Patrol nocny, 4. Mniemana siła, istniejąca jakoby w elektryczności, 5. Łódź na archipelagu malajskim, 6. Nuta, 7. Obraz (wsp.), 9. Chłop w Indostanie, 10. Wulkan, 12 Narzędzie do mierzenia gazu bezbarwnego, 15. Pisarz polski, 18. Rzeka, 21. Imię żeńskie, 23. Imię przyjaciela Jana Gutenberga, 26. Epoka, 27. Miara angielska (wsp.) 28. Zaimek, (3 przyp. l.), 29 Trzy jednakowe spółgłoski, 32a. Mieszkańcy wsi, 34. Znak średniowieczny, wyrażający nutę, 35. Oddział żołnierzy, 36. 36a. Nacięcia, 38. Moneta turecka, 39. Moneta hiszpańska, 44a. Zaimek, 46. Nuta, 47. Zaimek.

Ułożył R. C. Kl. VI.

Za rozwiązanie przeznacza się nagrodę w postaci książki.

Wydawca: Zarząd Bratniej Pomocy w osobie prof. URBANA.
Kierownik literacki: prof. ANDERS.

Komitet redakcyjny: uczniowie.
Redaktor odpowiedzialny: kol. Czesław Cierpikowski.
Redaktor naczelny kol. Józef Fastyn.
Zastępca redaktora naczelnego kol. Stanisław Szymański.
Członkowie kol.: Włodzimierz Maryanowski, Mieczysław Chlewicki, Edward Sokopp, Mieczysław Buki, Tadeusz Gallus.

Adres Redakcji: Kutno, Gimnazjum Państwowe im. H. Dąbrowskiego.

Druk J. Celkowskiego w Kutnie.